

Józef Drumlewski (1914–1999) – na froncie i w niewoli

Wspomnienia do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła Renata Kobylarz-Buła

Wojenne losy Józefa Drumlewskiego, uczestnika kampanii polskiej 1939 r. i żołnierza Armii Krajowej, jeńca obozów Wehrmachtu oraz więźnia radzieckich łagrów, wpisują się w historię pokolenia, któremu przyszło wejść w dorosłe życie u progu II wojny światowej. To stwierdzenie, które często pojawia się w biogramach uczestników drugowojennych wydarzeń nie brzmi w związku z tym, być może, oryginalnie. Trafnie jednak oddaje dramat ludzi urodzonych i wychowanych we własnym, niepodległym kraju i – jak to u osób młodych – pełnych nadziei oraz planów na przyszłość, których realizację umożliwić im miała odrodzona polska państwowość. Wizję tę umacniało także starsze pokolenie, znacznie bardziej doświadczone, a mimo to często nieprzewidujące nadchodzącej katastrofy, jak przedstawione to zostało w jednej ze wspomnieniowych publikacji:

Minęła wojna. Skończył się okres tułaczki. Nadszedł czas wymarzonego pokoju, a w ludzkich sercach zrodziła się wiara, że potrwa on długo, może już na zawsze. Umacniało się poczucie pewności, że długie lata wzajemnego zabijania się i nieustannych walk, doprowadzających ludność zmagających się stron do straszliwej nędzy, minęły na zawsze i więcej nie powtórzą się. Pokolenie, któremu odebrano młodość, chciało wierzyć, że w najbliższych latach będzie żyć w spokoju, bez groźby nowej wojny. Nie wiedzieli jednak, jak mocno się mylą i nie podejrzewali, że otrzymali jedynie krótką, pokojową przerwę¹.

Autor powyższych słów spisał je na podstawie rozmów z dziadkiem i ojcem, którzy zdecydowali się podzielić swymi doświadczeniami z kolejnym pokoleniem. Inaczej niż bohater niniejszego tekstu, Józef Drumlewski, który – według słów córki – o wojennych przeżyciach mówił rzadko i niechętnie. W końcu jednak u schyłku życia spisał je, artykułując we wstępie motywację, która mu przyświecała:

Pragnę, by moje przeżycia na tle toczącej się historii Polski, były dla moich dzieci i młodego pokolenia swoistą przestrogą i nauką do podejmowania działań, aby tragiczne obrazy z przeszłości nigdy nie powtórzyły się. Historia est magistra vitae – historia jest mistrzynią [nauczycielką] życia, niech ta zasada będzie realizowana w praktyce, a nie tylko powtarzana w teorii².

1 Z. Ciechanowicz, *Nad brzegami Niemna*, Wydawnictwo Internetowe E-bookowo 2017, s. 70.

2 Centralne Muzeum Jeńców Wojennych (dalej: CMJW), Relacje i Wspomnienia (dalej: RiW), sygn. 1262, s. 3.

Wymowne jest to długie milczenie o najbardziej bolesnych przeżyciach, za którymi stała zapewne chęć chronienia przed koszmarem wojny zarówno rodziny, jak i samego siebie. Jak pisał jednak filozof Gabriel Marcel „wielcy świadkowie nie rekrutują się spośród szczęśliwych, ale spośród cierpiących i prześladowanych”³, i w wielu przypadkach moralny imperatyw, zawarty m.in. w słowach „ocalałeś nie po to aby żyć masz mało czasu trzeba dać świadectwo”⁴, powodował, że uczestnicy najbardziej traumatycznych wydarzeń, w tym II wojny światowej, zdecydowali się o nich opowiadać, nawet jeśli powrót do przeszłości wiązał się z cierpieniem. W życiu Józefa Drumlewskiego takimi wydarzeniami – jak wynika z jego relacji i wspomnień córki – była bitwa nad Bzurą oraz pobyt w radzieckich łagrach. Na drugim planie pozostawał czas spędzony za drutami niemieckich obozów jenieckich oraz praca przymusowa w niemieckiej gospodarce. Relacja z tego okresu jest jednak niemniej interesująca. Chociaż spisana 50 lat po wojnie, zaskakuje dużą szczegółowością i rzeczowym tonem, ale zarazem – z uwagi na przybliżone opisy scen walki i przemocy – nie pozostawia nas obojętnym. Choć nie każdy opisany przez J. Drumlewskiego fakt, np. znęcanie się nad cywilami w obozie w Żyrardowie, można jednoznacznie potwierdzić, to całościowo jego wspomnienia mają charakter wiarygodnego przekazu, zgodnego z aktualnym stanem wiedzy na temat przebiegu kampanii wrześniowej i bitwy nad Bzurą, okolicznościach dostania się do niewoli polskich żołnierzy i ich dalszych losach. Autor personifikuje w nim m.in. doświadczenie tysięcy polskich żołnierzy, którzy po krwawych walkach jesienią 1939 r. dostali się do niewoli niemieckiej i spędzili w niej wiele miesięcy lub lat. Większość szeregowych i podoficerów, zgodnie z zapisami międzynarodowego prawa wojennego, musiała podjąć w niewoli pracę na rzecz wroga. Duża część z nich, wbrew wspomnianym zasadom, została pozbawiona statusu jenieckiego, a tym samym i ochrony prawnej, a następnie przymuszona do pracy w charakterze robotnika cywilnego. Los taki spotkał także Józefa Drumlewskiego, który należał do jeszcze innej, charakterystycznej grupy jeńców – podchorążych Wojska Polskiego.

Wymienione wątki, obecne w biografii J. Drumlewskiego, składają się na pierwszą część wspomnień, z których do niniejszego opracowania wybrano relację z pobytu w niewoli niemieckiej. Z racji ograniczonej objętości tekstu nie zdecydowano się natomiast przytoczyć obszernego opisu bitwy nad Bzurą oraz relacji z okresu po ucieczce z Niemiec, tj. walki w polskim podziemiu niepodległościowym i pobytu w radzieckich łagrach. Wspomnienia te, wraz z informacjami uzyskanymi od córki Józefa Drumlewskiego⁵, zostały natomiast wykorzystane do odtworzenia życiorysu bohatera.

3 G. Marcel, *Rozważania na temat wiary*, s. 253, cyt. za: M. Pleskaczyńska, *Głos nadziei w „erze świadectwa”. Kategoria świadka w dyskusji etycznej*, „Ruch Filozoficzny” 2016, t. 72, nr 1, s. 126.

4 Z. Herbert, *Przesłanie Pana Cogito*. W: Z. Herbert, *Pan Cogito*, wyd. 2 popr., Wrocław 1994, s. 88.

5 Rozmowa telefoniczna przeprowadzona 19 I 2019 r. przez R. Kobylarz-Bułą.

Józef Drumlewski urodził się 17 października 1914 r. w Wojciechowie położonym w powiecie lubelskim, województwo lubelskie. Pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej, jego matka Marianna z domu Guz oraz ojciec Bolesław – według wspomnień lewicujący wielbiciel Piłsudskiego, mieli gospodarstwo w Wojciechowie. Tu Józef spędził pierwszych 12 lat swojego życia, aby następnie w 1926 r., wspólnie z rodzicami i piątką rodzeństwa, przeprowadzić się do Szembruczka, wsi w powiecie grudziądzkim, w województwie pomorskim. Rodzinie Drumlewskich udało się kupić tam małe gospodarstwo. Józef natomiast podjął dalszą edukację, kończąc w 1935 r. Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie im. Stanisława Staszica w Grudziądzu i uzyskując tym samym zawód nauczyciela szkoły podstawowej. W tym czasie, tj. w latach 1933–1935, odbył także obowiązkową służbę wojskową. W roku 1937 rozpoczął natomiast pracę w szkole podstawowej w Kletnie, wiosce położonej w powiecie prużańskim na Polesiu. Jak podkreślał w swoich wspomnieniach, warunki, w których przyszło mu tam pracować, były na tyle trudne, że postanowił szukać innych możliwości zarobkowania. Okazja pojawiła się w końcu 1938 r. Józef Drumlewski został wówczas powołany na ćwiczenia rezerwistów do 65. Starogardzkiego Pułku Piechoty (SPP) w Grudziądzu, wchodzącego w skład 16. Pomorskiej Dywizji Piechoty. To tam ówczesny dowódca pułku ppłk Stefan Cieślak zaproponował mu przejście do zawodowej służby wojskowej. Propozycja, powtórzona w czerwcu 1939 r., zawierała obietnicę awansu na podporucznika rezerwy piechoty po ukończeniu zawodowej szkoły podchorążych piechoty. Wszystko zatem wskazywało, że młody nauczyciel z powodzeniem zmieni zawód. Jednak to właśnie wojna pokrzyżowała plany J. Drumlewskiego. Już w lipcu 1939 r. po rozpoczęciu służby wojskowej w 7. kompanii III batalionu 65. SPP pracował on wraz z towarzyszami przy budowie linii obronnej Grudziądza, wzdłuż rzeki Osy, a w ostatnich dniach sierpnia jego kompania została skierowana do Książych Gór⁶.

Pierwsze trzy dni po ataku III Rzeszy na Polskę upłynęły żołnierzom 65. SPP na odpieraniu zmasowanego ataku niemieckiego z lądu i powietrza, w mocno nieprzychylnych warunkach. Potem nastąpił, znany z wielu relacji września 1939 r., pełen chaos odwrót, w towarzystwie kolumn ludności cywilnej, masowo przemieszczającej się i atakowanej z powietrza przez wroga. Batalion, w którym służył J. Drumlewski, wycofywał się w kierunku Torunia i Włocławka, a następnie – zgodnie z przyjętą strategią – podjął marsz na Warszawę. Po drodze zaliczył niewielki sukces, uczestnicząc 14 września w odbiciu z rąk niemieckich Łowicza⁷. Utrzymanie miasta okazało się jednak niemożliwe. W nocy z 14 na 15 września oddziały polskie opuściły Łowicz, wycofując się za Bzurę. Walki podjęte w ostatniej fazie bitwy nad Bzurą w dniach 16–18 września były bardzo dramatyczne, co znalazło wyraz we

6 Ł. Bors, *Grupa Operacyjna „Wschód” w bitwie nad Osą 1–3 września 1939 r.*, „Piotrkowskie Zeszyty Historyczne” 2018, t. 19, z. 1, s. 70.

7 Według planu oddziały Armii „Pomorze” miały złamać niemiecką linię obrony pod Łowiczem, zdobyć lasy skierniewickie i ruszyć razem z Armią „Poznań” przez Sochaczew w kierunku Warszawy.

wspomnieniach Józefa Drumlewskiego. On sam dostał się do niewoli 18 września, a więc w momencie zaprzestania walk. Jego droga do obozu wiodła przez punkty zborne w Sochaczewie, Żyrardowie i Kaliszu, zapamiętane negatywnie z uwagi na brak odpowiednich warunków lokalowych i żywieniowych, tak potrzebnych wyczerpanym walką jeńcom, oraz brutalne traktowanie przez niemieckich wartowników, włączając w to przypadki rozstrzelań. Z kaliskiego dworca, ok. 26 lub 27 września, transport polskich jeńców wojennych ruszył wagonami towarowymi do Legnicy. Tu ich rozładowano, a następnie załadowano ponownie do wagonów, ale tym razem już osobowych. Dalszą podróż w głąb Rzeszy jeńcy odbywali w bardziej cywilizowanych warunkach. Celem był Oflag X A Itzehoe. Najprawdopodobniej transport ów dotarł do obozu 25 października. W tej grupie był J. Drumlewski (nr jeniecki 1437)⁸.

Obóz w Itzehoe usytuowany był w koszarach wojskowych poza miastem. Warunki lokalowe i sanitarne w nim panujące według jeńców były przyzwoite⁹. Odmienne przedstawiała się kwestia głodowego wręcz wyżywienia, które doskwierało Polakom, podobnie jak nieprzychylnie nastawienie komendanta obozu, płk. Willy'ego von Fuchsa¹⁰. Mimo tych, wydawałoby się niesprzyjających, warunków już jesienią 1939 r. jeńcy podjęli pierwsze próby organizacji życia religijnego i kulturalnego, m.in. z okazji dnia 11 Listopada¹¹. Tych działań J. Drumlewski nie odnotował. Na przełomie listopada i grudnia 1939 r. trafił do Stalagu II A Neubrandenburg¹². Zmiana typu obozu, tj. przeniesienie z oflagu do stalagu, wymaga wyjaśnień. Józef Drumlewski znalazł się w grupie co najmniej 4812 podchorążych, którzy po udziale w kampanii polskiej 1939 r. trafili do niewoli niemieckiej¹³. Podobnie jak około tysięcy podchorążych został skierowany do Oflagu X A Itzehoe. W toku prac oflagowych komisji weryfikacyjnych ujawniono nieoficerski status podchorążych. W związku z czym władze niemieckie poddały tę grupę obowiązkowi pracy, m.in. w zakresie porządków w obozie. Część podchorążych została z kolei ordynansami oficerów. Z niektórych oflagów wywożono ich jednak do innych obozów oficerskich lub stalagów, np. jesienią 1939 r. podchorążowie z oflagów II A Prenzlau i X A Itzehoe trafili do Stalagu II A Neubrandenburg¹⁴. Przez obóz ten miało przejść ok. 700 podchorążych, a wśród nich także J. Drumlewski¹⁵. Podchorążowie zabiegający o pozostanie

8 CMJW, Wehrmachtauskunftsstelle für Kriegerverluste und Kriegsgefangene (dalej: WAST), sygn. 5330, s. 13. Nazwisko J. Drumlewskiego znajduje się także na innych listach z Oflagu w Itzehoe: CMJW, WAST, sygn. 5315, s. 6 oraz sygn. 5336, s. 16.

9 CMJW, RiW, sygn. 236, 426.

10 Willy von Fuchs urodzony w 1868 r. w Graudenz (Grudziądz), 25 VIII 1939 r. mianowany komendantem Oflagu X A Itzehoe, we wrześniu 1940 r. przeniesiony na stanowisko komendanta Oflagu X D Fischbek. Por. <http://www.lexikon-der-wehrmacht.de/Personenregister/F/FuchsWillyvon-R.htm> [dostęp: 11 II 2018 r.].

11 A. Sałacki, *Jeniec wojenny nr 335*, Warszawa 1973, s. 72, 77–78.

12 CMJW, WAST, sygn. 5336.

13 P. Jagieła, *Podchorążowie Wojska Polskiego w niewoli niemieckiej 1939–1945*, Opole 2018, s. 63.

14 Ibidem, s. 84–85.

15 Ibidem, s. 55; CMJW, WAST, sygn. 106.

w oficerskim gronie musieli stanąć przed polskimi komisjami weryfikacyjnymi, ale dotyczyło to tych, którzy zadeklarowali się jako podporucznicy. Józef Drumlewski tego nie zrobił, gdyż – jak podaje jego córka, i jak wynika z jego wspomnień – miał realistyczne podejście do życia. Nie uważał się za oficera.

Stalag w Neubrandenburgu funkcjonował od 1 września 1939 r. i był pierwszym obozem jenieckim, jaki władze niemieckie założyły w drugim okręgu wojskowym Wehrmachtu. Na lokalizację obozu wykorzystano poligon wojskowy, który zaczął powstawać zaledwie rok wcześniej na ok. 70-hektarowym terenie, położonym w odległości 5 km na południowy wschód od miasta Neubrandenburg¹⁶. Pierwsi polscy jeńcy wojenni dotarli do tego miejsca w połowie września 1939 r. z obozów przejściowych w Świeciu i Tucholi. W październiku 1939 r. przybyły transporty z Radomia i Częstochowy. Do połowy grudnia 1939 r. przywieziono do obozu 24 900 polskich żołnierzy – szeregowych, podoficerów i oficerów (ci ostatni zostali przeniesieni do oflagów)¹⁷. Wspomnienia Józefa Drumlewskiego, podobnie jak innych jeńców, potwierdzają, że warunki w obozie były na początku bardzo trudne¹⁸. W relacjach powtarzają się informacje o prowizorycznym charakterze obozu, pozbawionym infrastruktury. Zimą 1939 r. jeńcy zmuszeni byli spędzić w słabo ogrzewanych, zawilgoconych, ponad 100-osobowych namiotach, śpiąc na sianie i mając do przykrycia jeden koc. Łaźnie i kuchnia znajdowały się pod gołym niebem, co było dodatkowym utrapieniem dla przetrzymywanych. Obok tego siły jeńcom odbierało bardzo słabe wyżywienie. Nie wszyscy przetrwali tak złe warunki, biorąc również pod uwagę brak należytej opieki medycznej¹⁹. Wreszcie wśród załogi obozowej przeważały osoby nieprzyjaźnie nastawione do Polaków. Obok słownej agresji i pogardliwego stosunku, deprecjacji narodu i państwa polskiego, dochodziło często do pobić i maltretowania jeńców²⁰.

Sytuacja Polaków poprawiła się dopiero wiosną 1940 r., gdy w obozie ruszyły prace budowlane i dotarła tu pomoc humanitarna, m.in. w postaci paczek od najbliższych. W tym czasie większość jeńców przebywała już jednak w oddziałach roboczych, rozlokowanych zarówno w lokalnym rolnictwie, jak i przemyśle, zwłaszcza w rejonie Rostoku. Jednocześnie w czerwcu 1940 r. władze niemieckie rozpoczęły akcję masowego „zwalniania” jeńców z niewoli, co było eufemizmem oznaczającym – niezgodne z zapisami konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych z 27 lipca 1929 r. – nakłanianie jeńców do rezygnacji z ich statusu i przyznawanie im statusu cywilnego robotnika przymusowego. Często wywierano na nich presję, przymuszając w sposób bezpośredni lub pośredni do zrzeczenia się swojego statusu. Niekiedy jednak jeńcy świadomie decydowali się na zmianę,

16 N. Jeske, *Lager in Neubrandenburg-Fünfeichen 1939–1948. Kriegsgefangenenlager der Wehrmacht, Repatriierungslager, Sowjetisches Speziallager*, Schwerin 2013, s. 28.

17 Ibidem, s. 39

18 CMJW, RiW, sygn. 156, 227, 246, 321, 656.

19 N. Jeske, *op.cit.*, s. 41.

20 Ibidem, s. 43.

licząc na poprawę warunków bytowych, co w przypadku fatalnej sytuacji w Stalagu II A Neubrandenburg, miało istotne znaczenie. Zwolnienia odbywały się także w oddziałach roboczych. Jeniec wojenny, który podpisał deklarację przejścia na status robotnika cywilnego, był następnie przekazywany w kompetencje właściwego urzędu pracy, skąd kierowano go do miejsca zatrudnienia. Podobnie stało się z J. Drumlewskim, który 31 października 1940 r. po ponad 10 miesiącach w obozie Neubrandenburg – z czego zasadnicza część pobytu przypadła na oddziały robocze w miejscowościach Friedland i Rympau – zdecydował się podpisać wymieniony dokument²¹. Został przekazany do pracy w gospodarstwie w Friedland, gdzie spędził ponad 2 lata. Mimo relatywnie lepszych warunków bytowych, doskwierało mu pogardliwe i prowokacyjne zachowanie otaczających go Niemców, martwił także los bliskich. Po wybuchu wojny jego najbliższą rodzinę spotkały represje ze strony władz niemieckich. Rodzice otrzymali propozycję podpisania volkslisty pod groźbą odebrania gospodarstwa. Nie zgodzili się na to, a skutkiem było skierowanie Bolesława, Marianny oraz dwójki młodszych dzieci Zofii i Edwarda do obozu pracy w Potulicach, gdzie przetrzymywano ich przez prawie całą wojnę²². Gospodarstwo zajął natomiast niemiecki sąsiad. Tragiczne były losy starszej siostry J. Drumlewskiego, Felicji Kulpy, której mąż został rozstrzelany przez Niemców, a ona sama trafiła jako służąca do domu niemieckiego oficera. Z kolei do niewoli niemieckiej dostał się młodszy brat Józefa, Władysław, który przeszedł przez oflagi II A Prenzlau i II E Neubrandenburg, aby w końcu w kwietniu 1943 r. zostać przeniesionym do Stalagu II E Schwerin²³. Po wojnie wrócił do Polski.

Wyżej wymienione względy spowodowały, że Józef Drumlewski uzyskał, dzięki swoim staraniom, przepustkę na urlop do domu i w grudniu 1943 r. opuścił Niemcy, by już nigdy tam nie powrócić. Wyjechał do znajomych mieszkających w Białobrzegach koło Łańcuta. Tu ukrywał się, korzystając z pomocy rodziny swojej przyszłej żony – Danuty Kulpy, wówczas młodej kobiety, która w czasie wojny ukończyła tajny kurs nauczycielski. Jej rodzina, zwłaszcza bracia Tadeusz i Stanisław Kulpowie, zaangażowali się w działalność konspiracyjną w Armii Krajowej (AK). Najprawdopodobniej to również oni namówili J. Drumlewskiego do wstąpienia w szeregi miejscowej placówki Obwodu AK Łańcut²⁴. Działając pod pseudoni-

21 CMJW, WAsT, sygn. 106, s. 28.

22 Do obozu w Potulicach od 1 VIII 1941 do 31 XII 1941 r. trafiło 831 mieszkańców powiatu grudziądzkiego, na ogół wysiedlonych ze swoich gospodarstw. Por. W. Jastrzębski, *Potulice. Hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy luty 1941 r.–styczeń 1945 r.*, Bydgoszcz 1967, s. 43.

23 CMJW, WAsT, sygn. 5128, s. 44 i sygn. 5134, s. 1.

24 Obwód ZWZ-AK Łańcut dzielił się na 10 placówek terenowych, oznaczonych kryptonimami liczbowymi od 1 do 10, które terytorialnie odpowiadały gminom miejskim lub wiejskim. Placówka nr 6 Kosina obejmowała miejscowości, w których działał J. Drumlewski, tj. Kosinę, Białobrzegi, Korniątków, Budy Łańcuckie, Rogóźno. Placówką tą dowodził Emil Ziółkowski ps. „Krzywda”, wymieniony we wspomnieniach J. Drumlewskiego. Por. A. Borcz, *Obwód SZP-ZWZ-AK Łańcut 1939–1945 w relacjach żołnierzy podziemia – organizacja, działania dywersyjne i sabotażowe*, „Rocznik Przemyski” 2015, t. 51, z. 1, s. 40–41, 43.

mami „Mruk” i „Zbieg”, J. Drumlewski w stopniu podporucznika objął dowództwo plutonu liniowego. Jego oddział, składający się z żołnierzy z terenu Kosiny, Białobrzegów, Korniaktowa i Bud Łańcuckich, zajmował się głównie ubezpieczeniem dróg, mostów i obiektów podczas prowadzenia działań przez oddziały dywersyjne AK. Dodatkowym zadaniem porucznika było przeprowadzanie ćwiczeń bojowych wśród pomocniczych służb wojskowych AK. Na co dzień J. Drumlewski, będąc w trudnej sytuacji materialnej, zatrudniał się do pracy przy wyrębie lasu i pomieszkiwał w gajówkach i budynku leśnictwa w Budach Łańcuckich. Stąd w jednym ze wspomnień dotyczącym działalności konspiracyjnej pojawiła się informacja, iż był leśnikiem²⁵. W lutym 1944 r. dowiedział się, że jest poszukiwany przez gestapo, co zmusiło go do większej ostrożności.

Sytuacja zmieniła się jednak już w maju i czerwcu tego samego roku, wraz ze zbliżaniem się frontu wschodniego. Oddziały Obwodu AK Łańcut rozpoczęły przygotowania do realizacji akcji „Burza”. Główne działania w jej ramach przeprowadzono na tym terenie od 6 do 30 lipca 1944 r. W założeniu miały to być walki z oddziałami niemieckimi, w momencie ich wycofywania się przed Armią Czerwoną, m.in. zaplanowane zostało uderzenie na niemieckie koszary w Łańcucie. Nie wszystkie plany udało się zrealizować. Obok drobniejszych potyczek, oddziały łańcuckiego AK chroniły ludność, zabezpieczały obiekty użyteczności publicznej przed zniszczeniem, takie jak np. elektrownia, stacja kolejowa, budynki administracyjne, zakłady przemysłowe itp. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na te tereny i wraz z tworzeniem komunistycznych władz polskich, część żołnierzy Obwodu AK Łańcut dotknęły pierwsze represje²⁶. W tym samym czasie inni, jak pluton J. Drumlewskiego, nie tracili nadziei na możliwość udzielenia pomocy powstańczej Warszawie. Plany te przecięły ostatecznie masowe aresztowania żołnierzy AK w powiecie łańcuckim, prowadzone jesienią 1944 r. przez oddziały NKWD i Armii Czerwonej. Wśród zatrzymanych w ostatnich dniach października był Józef Drumlewski. Po wstępnym przesłuchaniu został skierowany, wraz z innymi aresztowanymi akowcami, do więzienia w Jarosławiu, gdzie poddano go dotkliwemu śledztwu. Mimo prób wymuszenia zeznań biciem i torturami, nie przyznał się do „zarzutów”, w tym przynależności do Armii Krajowej. Po kilku dniach, 6 lub 7 października, przewieziono go wraz z innymi więźniami do Bakończyc, wsi położonej pod Przemyślem (obecnie część miasta). Mieścił się tam frontowy jeniecki obóz przesyłowy NKWD nr 49 Przemyśl²⁷. W budynkach wojskowych, a konkretnie w stajniach dla koni, gromadzono przez kilka dni aresztowanych ludzi, których następnie w drugiej dekadzie listopada 1944 r. załadowano do pociągów towarowych i wywieziono w głąb Związku Radzieckiego.

25 Zob. R. Stefanicki, *Kartka z pamiętnika*, „Spotkania Świrzan” 2005, nr 3, s. 10.

26 A. Borcz, *op.cit.*, s. 99 i n.

27 *Uwięzieni w Borowiczach. Alfabetyczne wykazy 5795 Polaków i przedwojennych obywateli polskich innych narodowości więzionych w obozie jenieckim nr 270 NKWD ZSRR w Borowiczach w latach 1944–1949*, oprac. E. Rybarska i in., Warszawa 1997, s. 11.

W ten sposób Józef Drumlewski trafił do obozu nr 270, którego zarząd był początkowo zlokalizowany w Jogle, a następnie w końcu 1944 r. przeniesiony do miasta Borowicze. Było to jedno z trzech głównych miejsc internowania akowców, obok obozów nr 41 w Ostaszkwie i nr 178 w Riazaniu. Znaleźli się w nich ci żołnierze podziemia niepodległościowego, którym nie udowodniono żadnej konkretnej „winy”. Obóz w Borowiczach przyjął w 1944 r. 4893 osób z 8587 ogółu internowanych Polaków²⁸. We wspomnieniach J. Drumlewskiego zachował się on jako miejsce eksterminacji. Opisywał fatalne warunki zakwaterowania w zdewastowanych, zawszawionych i zapluskwionych barakach, pozbawionych sprzętów, sienników, kocy. Obok skrajnie złych warunków higienicznych, niewystarczającego pod względem jakościowym i ilościowym wyżywienia, siły więźniów osłabiała katorżnicza praca, do której byli zmuszani. Przede wszystkim wykorzystywano ich w kopalniach węgla, ale także – jak wspominał J. Drumlewski – przy odbudowie zniszczonej cegielni czy przy wyławianiu drzewa spławianego rzeką. Wyniszczająca praca w zimnie, bez zabezpieczeń i należytego ubrania, przy wspomnianych już złych warunkach bytowych, powodowała, że więźniowie masowo chorowali, zwłaszcza na tyfus i czerwonkę, i w efekcie umierali.

Józefowi Drumlewskiemu udało się przetrwać chorobę, doczekać decyzji o zwolnieniu z łagru i powrocie do Polski. Na początku marca 1946 r. jeden z transportów zwolnionych więźniów, wraz z J. Drumlewskim, dotarł do Białej Podlaskiej²⁹. Dalsze jego losy były już typowe dla wielu żołnierzy podziemia niepodległościowego, którzy pragnęli ułożyć sobie życie osobiste i zawodowe. Józef Drumlewski wyjechał zatem na tzw. Ziemię Zachodnie i Północne w ślad za swoją narzeczoną Danutą Kulpą, która podjęła pracę jako nauczycielka najpierw w szkole podstawowej w Piotrowicach pod Raciborzem, a następnie po ukończeniu studium nauczycielskiego, w szkole średniej w Raciborzu. Józef z kolei osiedlił się początkowo w Cieplicach, gdzie po ukończeniu kursu dla księgowych, został zatrudniony w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim (1946–1948). W roku 1948 wziął ślub z Danutą i przeniósł się do Raciborza, podejmując pracę w Narodowym Banku Polskim. W roku 1954, po urodzeniu się drugiego dziecka, rodzina przeprowadziła się do Opoła. Do końca swojej zawodowej aktywności w 1979 r. J. Drumlewski pracował w bankowości, zdobywając stopień magistra prawa. Według informacji rodziny, nie szykanowano go z powodu przeszłości, chociaż do 1956 r. miał być wzywany do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. W rodzinnej pamięci przetrwała też dramatyczna scena z okresu stanu wojennego, gdy niespodziewanie mieszkanie Danuty i Józefa Drumlewskich zostało przeszukane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Załamany wówczas tym J. Drumlewski miał stwierdzić „oni mi nigdy tego nie

28 A. Arkusz, *Polacy internowani w obozie NKWD nr 270 w Borowiczach w latach 1944–1949*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, nr 2, s. 210–211; *Uwięzieni w Borowiczach...*, s. 11.

29 Nazwisko Józefa Drumlewskiego figuruje wśród 3464 osób, które według źródeł radzieckich, opuściły obóz nr 270 i dojechały do Polski w styczniu–lutym 1946 r. Por. *Uwięzieni w Borowiczach...*, s. 83.

zapomną”. Być może w obawie przed kolejnymi represjami nie utrzymywał relacji z dawnymi kolegami, czy to z niewoli niemieckiej, czy z obozów radzieckich. Jednak po przemianach politycznych w 1989 r. wstąpił do Związku Sybiraków i uczestniczył w jego zebraniach, m.in. w 1992 r. w Gdyni, gdzie odbyło się spotkanie żołnierzy AK – więźniów obozów radzieckich. Wspomnienia, będące przedmiotem tego opracowania, spisał w 1996 r., na cztery lata przed śmiercią.

Prezentowane poniżej wspomnienia, jak już zostało to nadmienione, stanowią pierwszą część materiału, spisane przez Józefa Drumlewskiego. Dotyczą okresu od połowy września 1939 do początku grudnia 1943 r. Styl pozostał niezmienny. Natomiast wprowadzono zmiany w układzie tekstu (akapity), celem ułatwienia czytelnikowi odbioru treści. Nieznacznie też poprawiono ortografię i interpunkcję zgodnie ze współczesnymi zasadami pisowni. W przypisach umieszczono dodatkowe informacje i komentarze.

Poszczególne odcinki frontu przechodziły ze zmiennym szczęściem z rąk do rąk, pole zasłane zabitymi żołnierzami i nie tylko polskimi, przypominały snopy zboża pozostawione przez żniwiarzy na ściernisku, a rzeka Bzura zapełniona była płynącymi ciałami ofiar wojny. Siły nasze wyczerpywały się, szczególnie w zasobach amunicji, broni, żywności oraz możliwości niesienia pomocy rannym. W godzinach popołudniowych 18 września, w rejonie niewielkiego lasu otoczyły nasze wojska kolumny niemieckich czołgów, zmusiły do poddania się i złożenia broni³⁰. Przy składaniu broni przez naszych żołnierzy, odchodzących z podniesionymi rękami do góry, do formującej się kolumny jeńców wojennych, jeden z czołgów nieprzyjaciela otworzył ogień z karabinu maszynowego, zabijając kilkunastu naszych żołnierzy. Uformowana kolumna z jeńców wojennych pod silną eskortą niemieckich żołnierzy ruszyła w kierunku Sochaczewa, do którego doszliśmy w godzinach wieczornych. W Sochaczewie umieszczono nas na placu tartaku, ogrodzonego drutem kolczastym i silnie strzeżonego przez wojska niemieckie. Wyczerpani z sił i głodni, pierwszą noc odpoczywaliśmy na placu tartaku, zasypiając w mundurze na trawie mimo chłodnej nocy. Pod koniec następnego dnia otrzymaliśmy po małym kawałku chleba, który po spożyciu choć w części zaspokoił głód. Nie otrzymaliśmy ani kropli wody, której pragnienie z braku potraw gotowanych z każdą godziną potęgowało się. Każda odrobina wody deszczowej z kałuż na placu tartacznym, w rowach ściekowych, była przez jeńców wypijana i o dziwo, nie było zachorowań z powodu zatrucia. W trzecim dniu pobytu na placu pod gołym niebem, przed południem otrzymaliśmy na posiłek: kawałek chleba i po jednym solonym śledziu. Wygłodniały chleb

30 Większość żołnierzy dostała się do niewoli 19 i 20 IX 1939 r. Zob. C. Grzelak, H. Stańczyk, *Kampania polska 1939 roku. Początek II wojny światowej*, Warszawa 2005, s. 230.

i śledzia zjedliśmy natychmiast, nie zastanawiając się nad skutkami, które wielu jeńców doprowadziły do tragedii³¹.

Około godziny 10.00 tego dnia uformowano kolumnę marszową z jeńców i rozpoczęliśmy marsz z Sochaczewa do Żyrardowa³². Słoneczny i ciepły dzień oraz wyczerpujący codzienny marsz bez odpoczynku potęgował z każdą godziną pragnienie wody, do którego niewątpliwie przyczyniło się spożycie śniadania z dodatkiem słonego śledzia. Kolumna jeńców, maszerując przez wioski lub mosty na rzekach, rozpadała się, gdyż żołnierze jeńcy wbrew zakazowi biegli do rzeki lub wiejskich studzien, żeby zdobyć krople wody i zgasić pragnienie. Za tak podejmowane decyzje płacili życiem, gdyż niemieccy konwojenci otwierali ogień z automatów i zabijali tych, którzy wbrew rozkazom oddalali się od kolumny marszowej, ażeby zaspokoić pragnienie. Zabici pozostali pode drogą i być może, po oddaleniu się kolumny, zaopiekowała się nimi miejscowa ludność z poszczególnych wiosek.

Do Żyrardowa przyszliśmy w godzinach wieczornych, zakwaterowano nas w byłych koszarach wojska polskiego. Warunki przejściowego pobytu znacznie poprawiły się w stosunku do tych, jakie mieliśmy w Sochaczewie. Przede wszystkim otrzymywaliśmy raz dziennie gotowaną zupę i porcje chleba, które po spożyciu zaspokajały głód. Śniadań i kolacji nie było, ale żołnierze do nieregularnego odżywiania się są na froncie przyzwyczajeni. Wystąpiły na tej kwaterze zjawiska niepokojące, mające charakter prowokacyjny. Żołnierze w mundurach polskich wywodzący się ze Śląska, Poznańskiego i Pomorza, zaczęli się przyznawać do przynależności niemieckiej i jako Niemcy zaczęli demonstracyjnie wznosić okrzyki, ażeby za każdego zabitego żołnierza niemieckiego „rozwalić stu żołdaków polskich”. Zdrajcy w mundurach polskich, z których większość nie znała nawet niemieckiego języka, zostali wyłączeni z grupy jeńców polskich, zakwaterowani w odrębnym bloku na warunkach żołnierzy niemieckich. Również demonstracyjny charakter miała akcja niemiecka zorganizowana w drugim dniu naszego pobytu w koszarach. W godzinach przedpołudniowych Niemcy zarządzili apel wszystkich jeńców polskich przebywających na terenie koszar. Na placu koszarowym ustawiono nas w dwuszeregu, w pobliżu dwóch sąsiadujących budynków koszarowych, odległych od siebie ok. 30 m. Między tymi budynkami uformował się szpaler z niemieckich żołnierzy wyposażonych w karabiny, drewniane pały i łańcuchy, przygotowanych do zaplanowanej akcji. Z niepokojem, stojąc w szeregach na placu, czekaliśmy na dalszy bieg wydarzeń. Po około godzinnym wyczekiwaniu usłyszeliśmy krzyk niemieckich żołnierzy i zobaczyliśmy przechodzące wewnątrz szpaleru osoby cywilne, które zaczęto bić kolbami

31 Na przykłady złego traktowania jeńców polskich spod bitwy nad Bzurą, egzekucji oraz fatalne warunki w punktach zbiorczych wskazują ustalenia Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi. Zob. CMJW, Materiały niepublikowane, sygn. 43, J. Kowalczyk, A. Laskiewicz, Zbrodnie Wehrmachtu w czasie bitwy nad Bzurą w rejonie powiatu kutnowskiego, s. 4–5.

32 Podobną drogę do Żyrardowa poprzez Sochaczew, a potem do obozów jenieckich, przeszedł Eugeniusz Frąckiewicz, autor dziennika pt. *Z Włocławka nad Bzurę. Dziennik z września 1939 roku*, Warszawa 2018, wydany staraniem jego potomków.

karabinów, łańcuchami, pałami, a wiele z nich przebijano bagnietami. Rozpoczęła się makabryczna scena na oczach nas polskich żołnierzy, obecnie jeńców, którzy bezradnie musieli się temu przyglądać. Płacz i krzyk torturowanych i zabijanych ludzi przez niemieckich oprawców, przekleństwa i obelgi rzucające na Polskę i Polaków, w obecności żołnierzy – jeńców wojennych to obraz, którego nigdy zapomnieć nie można. Po około godzinnym znęcaniu się nad bezbronną ludnością, pozostałą część żyjących cywilów zamknięto w jednym z budynków koszarowych, a nam powiedziano, że to byli bandyci z Warszawy, którzy odważyli się jako cywile walczyć przeciwko armii niemieckiej w obronie stolicy. Makabryczna sceneria zakończyła się, a my jeńcy wiedzieliśmy już w jakim celu zarządzono zbiórkę wszystkich jeńców znajdujących się w koszarach i dlatego ustawiono nas w szeregach, frontem do budynków, przy których dokonano makabrycznej rozprawy³³.

W trzecim dniu pobytu, w godzinach przedpołudniowych, wymaszerowaliśmy z Żyrardowa w kierunku Kalisza, jako ostatniego punktu pobytu przejściowego, przed transportem do obozów jeńców wojennych na terenie państwa niemieckiego. W drodze do Kalisza ponownie byliśmy świadkami wyczynów niemieckich żołnierzy, które pochłonęły życie kilkunastu żołnierzy – jeńców. W czasie marszu kolumny, nadjechały od tyłu tą samą trasą niemieckie samochody, załadowane żołnierzami Wehrmachtu. W pewnym momencie z jednego z samochodów wyrzucono kilka bochenków chleba na maszerującą kolumnę, chleb upadł na drogę i nie został podniesiony przez maszerujących jeńców. Fakt niepodjęcia chleba był wystarczającym powodem, aby jeden z żołnierzy niemieckich otworzył ogień z karabinu maszynowego na tylną część maszerującej kolumny jeńców, zabijając kilku żołnierzy i kilkunastu poważnie raniąc. Do Kalisza doszliśmy w godzinach wieczornych, witani uśmiechniętymi spojrzeniami przez przechodzących mieszkańców, a w wielu przypadkach obdarowywaniem porcjami chleba. Powolnym marszem ulicami Kalisza dotarliśmy do budynku szkolnego, który był miejscem naszego zakwaterowania, przed transportem na teren Rzeszy Niemieckiej. W Kaliszu przebywaliśmy przez dwa dni. Warunki na kwaterze były ciężkie, jeńców bardzo dużo, budynek szkolny załadowany jeńcami we wszystkich pomieszczeniach szkolnych z przekroczeniem dopuszczalnych norm, nie było gdzie siedzieć, spać, przestrzegać choćby w minimalnym stopniu zasad higieny.

W trzecim dniu pobytu, w godzinach przedpołudniowych, rozpoczął się grupowy wymarsz z budynku szkolnego na dworzec towarowy w Kaliszu. Na dworcu ładowano nas do wagonów towarowych po 60 do 70 jeńców w jednym wagonie. W przeładowanych wagonach wszyscy jeńcy musieli stać jeden obok drugiego, brak było dopływu powietrza, brak było jakichkolwiek choćby prowizorycznych urządzeń sanitarnych. Jeńcy w przepełnionych wagonach stali do godzin wieczornych z trudnością oddychając, dusznym i zanieczyszczonym powietrzem. Załadowany

33 O pacyfikacjach ludności cywilnej podejrzewanej przez oddziały niemieckie o udział w partyzantce, m.in. w: J. Böhrler, *Najazd 1939. Niemcy przeciw Polsce*, Kraków 2011, s. 183 i n.

i zabezpieczony przez konwojentów transport ruszył około godziny 19-tej z Kalisza w kierunku na Wrocław i Legnicę, do której dojechalibyśmy przed północą tegoż dnia. W Legnicy dokonano przeładowania jeńców z pociągu towarowego do specjalnie przygotowanego pociągu osobowego. Warunki dalszej jazdy w nieznanie stały się normalnymi, jak w każdej podróży. Mogliśmy wypocząć, zajmując miejsca siedzące, można było urządzić sobie nawet drzemkę jak w podróży cywilnej, udając się w daleką drogę. Zostaliśmy również w Legnicy zaopatrzeni w żywność w postaci porcji chleba wraz z dodatkami przydatnymi w podróży. Całą noc i do południa następnego dnia spędziliśmy czas w podróży, przejeżdżając przez wiele miast i miasteczek, w tym przez miasta powszechnie znane: Berlin i Hamburg. Wreszcie dojechalibyśmy do średniego w tamtym czasie miasta Itzehoe, w którym na stacji pociąg zatrzymał się na dłuższy czas. Po półgodzinnym wyczekiwaniu padł rozkaz: wysiadać. Żołnierze, jeńcy zaczęli opuszczać wagony, kierując się w stronę formułującej się kolumny, pilnie strzeżonej przez konwojentów. Utworzona długa kolumna ruszyła z dworca kolejowego w kierunku niemieckich koszar zlokalizowanych około kilometra drogi od stacji, w których mieścił się obóz dla jeńców, oficerów i podchorążych wojska polskiego. Maszerując ulicami miasta kolumna nasza stała się obiektem wyzwisk ze strony młodych Niemców, którzy rzucali pod naszym adresem: polskie świnie, polskie psy, szmaty, bandyci, posypały się w naszym kierunku kamienie i inne drobne przedmioty. Reakcja konwojentów na poczynania młodych Niemców zapobiegła dokonywaniu samosądów na ulicach miasta.

Odmienne od młodzieży zachowywała się ludność niemiecka starszego pokolenia, która w większości przypadków patrzyła z okien zamieszkałych domów z powagą i bez rzucania obelg. Po pewnym czasie marszu podeszliśmy do bramy koszar, a następnie kolumna wkroczyła na plac koszarowy. W koszarach była już grupa jeńców polskich, których deportowano wcześniejszymi transportami. Po sporządzeniu ewidencji przez niemiecką służbę obozową przybyłego transportu, podzielono nas na grupy i odprowadzono do odpowiednich budynków koszarowych. Warunki mieszkaniowe w budynkach były zbliżone do kwater wojskowych w koszarach polskich i dlatego należy ocenić je jako dobre, były łóżka, sienniki, koce, podgłówki, umywalnie itp. W dniu przybycia żadnego posiłku nie otrzymaliśmy, a te porcje, które otrzymaliśmy w podróży poprzedniego dnia, zostały skonsumowane jeszcze w czasie transportu. Nadchodząca noc była spokojna, można było się wyspać i wypocząć. Rano jak w wojsku polskim pobudka, mycie, ubieranie, a następnie zbiórka do apelu. Odmienne jak w wojsku kształtowały się warunki żywieniowe. Śniadania i kolacje to niewielka porcja chleba bez żadnych dodatków, która musiała wystarczyć do następnego dnia. Obiad składał się najczęściej z małej porcyjki wodnistej zupy bez tłuszczu, ziemniaki w mundurkach po dwa lub po trzy sztuki mniejsze, również bez tłuszczu i choćby małej porcji mięsa. Po kilkunastu dniach takiego żywienia jeńcy zaczęli tracić siły, sylwetki ich stawały się coraz bardziej szczupłe, a przymusowe spacerowanie po placu obozowym stawały się uciążliwe, gdyż zabrakło sił

do poruszania się na wskutek niedożywienia. Poranne apele przeprowadzali polscy oficerowie w obecności oficerów niemieckich, na których sprawdzano ilość obecnych na apelu, odczytywano nam komunikaty obozowe oraz podawano zarządzenia komendanta obozu, które obowiązywały od momentu podania ich do wiadomości. W czasie apelu podawano nam również do wiadomości niektóre wydarzenia z polityki międzynarodowej i rozwoju działań na froncie francuskim i angielskim.

W grudniu 1939 r. część jeńców, a z nimi również ja, została przetransportowana do Stalagu w Neubrandenburgu. Obóz zlokalizowany był około 800 m od granicy zabudowań miasta, na wielohektarowym placu ogrodzonym podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego i ustawionymi wieżami wartowniczymi, ale bez wybudowanych baraków, dla ulokowania przywiezionych jeńców. Z tych względów w okresie ostrej zimy 1939/40 przebywaliśmy pod namiotami, w których zamiast łóżek ułożone były na ziemi deski, a na nich trochę słomy i koc do przykrycia się w czasie snu. Przed wyjściem z namiotu ustawiony był mały żelazny piecyk, w którym bez przerwy palił się ogień dla ogrzewania wnętrza namiotu. W praktyce piecyk nie spełniał praktycznie żadnej roli dla ponad stu jeńców zakwaterowanych pod jednym namiotem, a ponadto namiot był stale otwarty, w którym śnieg i mróz były bardzo dokuczliwe dla głodnych żołnierzy jeńców. Sytuacja w zakwaterowaniu oraz warunki wyżywienia stały się podniętą na wiadomość o przygotowywanych transportach jeńców do prac w fabrykach, do budowy dróg i rowów melioracyjnych. Dodatkową podniętą do podejmowania pracy był również brutalny stosunek oficerów i strażników niemieckich do polskich jeńców. Nadmierna ilość apeli, niekiedy kilka w ciągu jednego dnia, przekleństwa i arogancki stosunek Niemców do Polaków, groźby rozstrzelania, bicie jeńców niekiedy do utraty przytomności za drobne niedostosowanie się do ich rozkazów, które wypowiedziano w języku niemieckim, niezrozumiałym dla polskich jeńców. Każdy z jeńców rozumował, że jeśli będzie pracował to dotychczasowa sytuacja może się zmienić na lepsze.

W grupie deportowanych do Frydlandu, do pracy w Fabryce Produkcji Płytek znalazłem się również ja, mimo że do tej pory nie zgłaszałem się. Do Frydlandu przyjechaliśmy, jeśli się nie mylę, w marcu 1940 r. i zostaliśmy zakwaterowani w dużej sali, w budynku byłej restauracji. W sali były ustawione piętrowe łóżka, wyposażone w sienniki koce oraz podgłówki, były stoły i ławy do spożywania posiłków. Wyżywienie dzienne nie najlepsze, ale można się było najeść do syta. W dużej grupie zakwaterowanych było ponad 100 jeńców, których w komplecie skierowano do pracy w Fabryce Płytek (Plattenfabrik). Do fabryki wychodziliśmy zwartą grupą o godzinie 6.00 rano, pod nadzorem wachmanów, bez śniadania. Po przybyciu do fabryki i stawieniu się na wyznaczonych stanowiskach pracy, od godziny 7.00 rozpoczynaliśmy wykonywanie zleconych robót pod nadzorem majstra i niemieckich robotników fabrycznych. Między godziną 12.00 a 13.00 spożywaliśmy obiad od godziny 13.00 do 17.00 ponownie praca. Praca ciężka, a szczególnie warunki w jakich się odbywała, były zabójcze dla zdrowia. Na wydziale pras, gdzie

wytwarzano płytki w stanie surowym (przed wypalaniem) zapylenie było tak duże, że hala produkcyjna wyglądała jak w oparach unoszącej się mgły na skutek ogromnego zapylenia mączką wytwarzaną z wypalanej gliny i dodatków do produkcji płytek. Druga grupa pracowała na piecach do wypalania płytek, której zadaniem był dowóz węgla i ładowanie go specjalnymi otworami do rozżarzonego ogniska pieca, inna grupa rozładowywała te piece, w których płytki już się wypaliły. Praca na piecach w temperaturze ponad 60 stopni, powodowała zapadanie jeńców na różne choroby, jak: przeziębienie, zapalenie płuc, anginę itp. Ciężka była również praca przy ręcznym ładowaniu dowożonej z wyrobiska gliny do maszyny przerobowej, z której transporterem przesyłana była na halę produkcyjną do dalszego przerobu. Ja pracowałem na różnych stanowiskach i w różnych oddziałach fabryki – przy ładowaniu gliny do maszyny przerobowej, na piecach do wypalania płytek, przy dozowaniu węgla do pieców, w sortowni, itp. Trzeba podkreślić, że majstrowie poszczególnych wydziałów fabryki przydzielali polskim jeńcom miejsca najbardziej szkodliwe dla zdrowia i wymagające dużego wysiłku fizycznego. Podobnie jak inni jeńcy, ja też zachorowałem na obustronne zapalenie płuc. W pierwszych dniach choroby nie miałem żadnej opieki lekarskiej ani żadnych lekarstw. Kiedy choroba przybrała stan krytyczny i zacząłem tracić przytomność, zabrali mnie do szpitala, w którym otrzymałem dwa zastrzyki bez żadnych innych lekarstw. W szpitalu przeleżałem cztery dni, stan zdrowia na tyle się poprawił, że o własnych siłach mogłem się poruszać. Po wypisaniu mnie ze szpitala powróciłem na swoją kwaterę, w której leczyłem się sam, leżąc w łóżku około miesiąca bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej i bez niezbędnych lekarstw. Chorobę zwalczyłem własnym uporem woli i wiarą, że przetrwam i powrócę do zdrowia, bo muszę wrócić do kraju i zobaczyć swoich rodziców i rodzeństwo. Pod koniec kwietnia 1941 r. stan zdrowia poprawił się, ale wachmani uznali, że do pracy w fabryce już nie nadają się i wraz z kilkunastoosobową grupą jeńców, również po chorobach, odesłali nas do lagru w Neubrandenburgu. W tym czasie warunki w lagrze się poprawiły, wszyscy jeńcy polscy zakwaterowani zostali w nowo wybudowanych barakach, wyposażonych w piętrowe łóżka, sienniki i koce do spania. Jeńcy zaczęli otrzymywać paczki żywnościowe od rodzin z Polski, a także zaczęły napływać paczki żywnościowe z zagranicy, za pośrednictwem UNRA[!]³⁴ – jako humanitarna pomoc dla jeńców. Nadchodzące paczki kontrolowane przez komendę obozu w dużej mierze zostały odchudzone, zanim dotarły do właściwych odbiorców.

Niedługo jednak mogłem korzystać ze znośnych warunków obozowych, gdyż pod koniec maja 1941 r. zostałem wysłany z grupą około 100 jeńców do pracy w Rympau oddalonego od Frydlandu [o] około 20 km. W Rympau pracowaliśmy

³⁴ Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy (*United Nations Relief and Rehabilitation Administration* – UNRRA). Organizacja ta została utworzona w 1943 r. w Waszyngtonie, a jej głównym celem było niesienie pomocy państwom europejskim i azjatyckim, które doświadczyły skutków wojny i okupacji.

przy budowie dróg, przy modernizacji rowów melioracyjnych oraz w wyrobisku żwiru, który ładowany łopatami na specjalne wózki wysyłany był na teren budowanych dróg. Praca w wyrobisku była ciężka, gdyż cały proces wydobywania i załadunku żwiru wykonywany był ręcznie, a odżywianie zbyt skromne dla regeneracji sił, niezbędnych do wykonywania tych robót. Praca trwała od godziny 7.00 rano do godziny 15.00, a następnie marsz 3 km do miejsca zakwaterowania przy wyjątkowo brutalnym postępowaniu wachmanów, nadzorujących jeńców wracających z pracy. Warunki pracy i złe wyżywienie doprowadziły aż do zaprotestowania przeciwko metodom traktowania jeńców wojennych. W określonym dniu, gdy sytuacja się nie poprawiała, odmówiliśmy przyjęcia obiadu, dowieszonego nam do miejsca pracy. Decyzja ta doprowadziła do smutnych konsekwencji. Władze niemieckie nasze postępowanie potraktowały jako niedopuszczalny bunt jeńców wojennych i podjęły odpowiednie działania.

Po powrocie z pracy na kwaterę, około godziny 20.00 tego samego dnia, przyjechało do naszej kwatery ponad dwudziestu uzbrojonych żołnierzy niemieckich, na dwóch ciężarowych samochodach. Niemcy wysiedli z samochodów i otoczyli budynek, w którym przebywaliśmy jako jeńcy. Komendant obozu mimo późnego wieczoru zarządził apel. Po ustawieniu wszystkich jeńców w dwuszeregu, dowódca przybyłej grupy obelżywymi słowami naurągał nam i zagroził użyciem broni w miejscu pracy, jeśli taki przypadek powtórzył się, dodając jednocześnie, że i to co się stało podczas pracy zostanie surowo ukarane. Po zakończeniu brutalnych wypowiedzi rozkazał stojącym w dwuszeregu jeńcom doliczać do dziesięciu, z tym że każdy jeńiec, który wypowiedział liczbę dziesięć musiał wystąpić dwa kroki przed stojące szeregi. Po zakończeniu odliczania, wszyscy jeńcy stojący dwa kroki przed szeregiem zostali załadowani tak jak stali do samochodów i pod nadzorem niemieckich żołnierzy odjechali w nieznanym na kierunku. Po kilkunastu dniach rozeszła się wiadomość, że wywiezieni jeńcy zostali rozstrzelani w lesie, oddalonym o kilkanaście kilometrów od naszej kwatery.

Po tym wydarzeniu całą grupę jeńców z wyrobiska wydobywania piasku przesunięto do robót melioracyjnych, przy modernizacji rowów ciekowych, usytuowanych na łąkach w niedalekiej odległości od naszej kwatery. Roboty melioracyjne prowadzone były do końca września 1941 r. Deszcze i chłody jesienne uniemożliwiały dalsze prowadzenie prac na podmokłych terenach. Z zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość o zakończeniu robót i czekaliśmy na powrót do lagru. Stało się jednak inaczej. Komenda obozu na zorganizowanym apelu powiadomiła nas, że wszyscy będziemy przekazani do prac rolnych we Frydlandzie i okolicy tego miasta, a na sporządzonej liście każdy jeńiec winien złożyć swój podpis, że wyraża zgodę na podjęcie pracy u gospodarza, w charakterze robotnika cywilnego, podlegającego władzom administracji cywilnej.

Jeńcy, którzy listy nie podpiszą, będą odtransportowani do specjalnego obozu, do przymusowej pracy. Nie jest mi wiadomo, czy ktoś ze stu jeńców na tej kwaterze

listy nie podpisał, mając w pamięci wydarzenia, które nastąpiły po odmowie przyjęcia obiadu, przy wykonywaniu robót na wyrobisku piasku. Ja zostałem przekazany do pracy do Hermana Szulca, czterdziestohektarowego gospodarza rolnego we Frydlandzie. W gospodarstwie tym pracowało nas dwóch jeńców wojennych i jeden robotnik Niemiec, który przede wszystkim pełnił funkcję nadzorcą nad robotami wykonywanymi przez nas Polaków. Wykonanie wszystkich robót w gospodarstwie mającym 30 sztuk bydła, 4 konie, ponad 30 sztuk świń, wymagało dużego nakładu pracy przekraczającej nasze możliwości, szczególnie w okresie od wiosny do późnej jesieni, w którym trzeba było wykonywać również prace polowe. W tym świetle codziennie rozpoczynaliśmy pracę o godzinie 6.00 rano, a kończyliśmy o godzinie 20.00, a w okresie letnim nawet o godzinie 22.00. W okresie letnim przy robotach polowych pomagali nam pracownicy sezonowi oraz rodzina gospodarza. Mimo ciężkiej pracy ogólne warunki życia były znacznie lepsze niż w lagrze, wyżywienie było na ogół dobre, obiady, śniadania i kolacje spożywalimy razem z gospodarzem przy jednym stole, mieszkaliśmy w osobnym pokoju, do spania mieliśmy łóżka wyposażone w niezbędną pościel, były też warunki do utrzymania higieny osobistej. Dokuczliwym był w codziennym życiu i pracy arogancki stosunek, szczególnie młodych Niemców do Polaków, którzy przy każdej okazji rzucali na Polaków obelżywe słowa w postaci polski porządek, polska gospodarka, polskie psy itp. Ta nieuzasadniona wrogość do Polaków, mimo uczciwej z naszej strony pracy, tworzyła zachętę dla wielu jeńców do podejmowania decyzji wyzwolenia się z panujących stosunków międzyludzkich. Najczęstszą metodą Polaków do wejścia na nową drogę życia było uzyskiwanie przepustek po roku pracy do odwiedzenia rodzin żyjących w Polsce. Przepustki takie po uciążliwych staraniach można było uzyskać na okres od 10 do 30 dni. Zachętą do tego rodzaju ucieczek do Polski były również listy otrzymywane przez Polaków od ich rodzin, oraz wiadomości z radia angielskiego informujące o sytuacji na frontach o wydarzeniach politycznych i zachęcanie do walki przeciw Niemcom w organizacjach podziemnych.

W rezultacie napływających wiadomości zacząłem zastanawiać się nad własną sytuacją, a szczególnie nad przyszłością, jaka może mnie czekać. Najbardziej bolesną dla mnie była wiadomość listowa od jednej z sióstr o przeżyciach mojej rodziny, po wkroczeniu Niemców do Polski. Zimą 1941 r. rodzice moi wraz z siostrą i bratem zostali aresztowani i wywiezieni do obozu w Sztuthofie Oddział w Potulicach³⁵, a ich gospodarstwo zostało przekazane Niemcowi. Młodsza siostra wraz z mężem i małym dzieckiem również zostali wysiedleni ze swojego gospodarstwa i przekazani

35 Obóz w Potulicach, funkcjonujący od lutego 1941 do stycznia 1945 r., pełnił funkcje obozu przesiedleńczego i pracy. Nie był formalnie podobozem KL Stutthof. Pomyłka może wynikać z faktu istnienia bliskich związków między obydwoimi obozami, zwłaszcza w okresie od września 1941 do końca stycznia 1942 r., gdy komendant obozu koncentracyjnego Stutthof Max Pauly sprawował kierownictwo i nadzór nad obozami Centrali Przesiedleńczej w Potulicach, Smukale i Toruniu. Nosił też tytuł komendanta i naczelnika obozu w Potulicach. Dodatkowo do ww. obozów przeszła część załogi obozowej KL Stutthof. Por. W. Jastrzębski, *op.cit.*, s. 32–35.

jako robotnicy przymusowi do gospodarstwa miejscowego Niemca, szwagier mieszkający wraz z siostrą w Grudziądzu został rozstrzelany przez Niemców po ich wkroczeniu do miasta, siostra natomiast jako służąca przekazana została Niemcowi, mieszkającemu w Grudziądzu. Te wiadomości były dla mnie zbyt tragiczne, nie mogłem nad nimi przejść do porządku dziennego, one zaczęły wytyczać drogę mego dalszego postępowania.

W połowie listopada 1943 r. otrzymałem drugi list od jednej z sióstr, w którym powiadomiła mnie, że były plutonowy Nowak, który był instruktorem szkoleniowym w Szkole Podchorążych Piechoty przy 65 pułku piechoty w Grudziądzu, w której ja odbywałem służbę czynną w wojsku, znęca się nad naszą matką, żądając od niej wskazania adresu mego miejsca pobytu. Były plutonowy Nowak stał się Niemcem i w obozie pełnił funkcję strażnika nad więzionymi Polakami. Matka adresu naszego pobytu, również mego brata, nie zdradziła tłumacząc się, że poszliśmy na wojnę i nie ma od nas żadnych wiadomości. Dla mnie ten sygnał miał jednoznaczną wymowę, gdyż były plutonowy Nowak znał mnie również z odbywania służby w podchorążówce, znał moje poglądy jako Polaka oraz mój stosunek do Niemców. Sygnał ten był dla mnie ostrzeżeniem, ale i głównym bodźcem do podjęcia decyzji o wyjeździe, możliwie szybko do Polski. Rozpocząłem intensywne starania u mego gospodarza o dwutygodniową przepustkę, celem wyjazdu w okolice Grudziądza, w odwiedzinach mojej chorej siostry. Po kilkunastu dniach Niemiec wyraził zgodę i odpowiednią przepustkę otrzymałem.

W pierwszych dniach grudnia 1943 r. wziąłem walizkę, kilka kromek chleba na drogę i pojechałem, ale nie w okolice Grudziądza, gdzie pracowała moja siostra, a do Białobrzegów koło Łańcuta, do znajomych, którzy w listach mnie zapraszali w odwiedzinach. Jechałem z myślą, że więcej do Niemiec nie wrócę, decyzja ta była ostateczna.